

namietności
Marii
Małgorzaty

Lisa Samson

przekład
Jacek Bielas

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału
THE PASSION OF MARY-MARGARET

© 2009 by Lisa Samson
All Rights Reserved. This Licensed Work published under license

Polish edition © 2013 Wydawnictwo WAM

Redakcja Zofia Pałowska

Korekta Maria Armata

Projekt okładki ChapterOne

fot. © konradbak-fotolia.com, © MarFot-fotolia.com

Logo serii Sebastian Stachowski

Łamanie Jacek Zaryczny

ISBN 978-83-7767-950-0

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 KRAKÓW

tel.: 12 62 93 200 • faks: 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel.: 12 62 93 254-255 • faks: 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel.: 12 62 93 260, 12 62 93 446-447

faks: 12 62 93 261

e.wydawnictwowam.pl

Druk: Drukarnia LEYKO • Kraków

UWAGI AUTORKI:

1. *Namiętności Marii Małgorzaty* nie stanowią parafrazy Księgi Ozeasza i nie zostały napisane z tą myślą.
2. Określenie *osoba duchowna* stosowane jest tutaj czasami jako rzeczownik. „Osobą duchowną” jest ksiądz, brat lub siostra zakonna, którzy są związani ślubami zakonnymi lub którzy zostali wyświęceni.
3. W niektórych krajach spotyka się *siostry*, które nie są, w ścisłym tego słowa znaczeniu, siostrami zakonnymi. Siostra zakonna żyje w obrębie murów konwentu lub zakonu.

*Znalezione pod
oknem przez
siostrę Bernadette,
Fresnell, kwiecień 2025*

Październik 2000

Droga Anielu!

Ileż to już lat minęło i do czegoż to doszło. Przeżyłaś mnie. Wiedziałam, że tak się stanie, i wiedziałam, że to ty właśnie znajdziesz te zapiski w mojej szafce na bieliznę. Że też Marii Franciszce musiał przyjść do głowy pomysł, abyśmy zapisywały nasze życie na pamiątkę dla tych, które po nas przyjdą. Jest to równie zrozumiałe, jak i kłopotliwe. Sądzę, że anonimowość w Bożej posłudze to rzecz zasadnicza dla pobożnego życia, pozwolę więc, aby te notatki ujrzały światło dzienne dopiero po moim odejściu. Przypuszczam jednak, że Maria Franciszka ma słuszość na dłuższą metę. Mamy tu o czym opowiadać i jest to część historii nowych sióstr. Wszystkie należymy do siebie nawzajem, nie znaczy to jednak, że wszystko muszą o mnie wiedzieć, kiedy jeszcze tutaj jestem. Dziewczyzna ma prawo zatrzymać coś dla siebie. Obiecuję jednak, pomimo swojego nastawienia, opowiedzieć o wszystkim z taką miłością i zyczliwością, na jaką tylko mnie

stać! (Krótko mówiąc, wyświadczam ci przysługę). Możesz zatem odetchnąć z pewną ulgą, moja przyjaciółko.

Piszę dla tych, które po nas przyjdą, aby wiedziały, że czasami Bóg powołuje nas do tego, czego możemy nie pojąć nigdy, a czasami do tego, czego sens zrozumieć możemy natychmiast. Zazwyczaj jedno i drugie występuje po trochu razem, jeżeli żyje się wystarczająco długo i rozwija umiejętność rozpoznawania Bożych śladów. Zaprawdę, niezbadane są ścieżki, którymi kroczy świętość.

Uwielbiałam służyć Bogu razem z tobą. Cieszę się dobrym zdrowiem, pisząc teraz te wspomnienia – po siedemdziesiątce – i oczekując przybycia siostry Pascal, która ma się tutaj znaleźć za kilka miesięcy z wielkim rezerwuarem młodości i werwy – czym z wszystkimi z nas będzie się mogła nieco podzielić – i zaczynam się zastanawiać nad słowami Marii Franciszki. Może prawdą jest, że da się przekazać nieco z tego, czego się nauczyliśmy, nawet po naszym odejściu. Choć zaprawdę nigdy nie czułam się zbyt mądra, to przynajmniej próbowałam coś pojąć. Nawet jednak w takich chwilach mój mózg czasami opierał się niczym przemądrzały uczeń, chociaż ciało wrywało się do działania. Jezus zawsze prowadził, mimo że nie jest zbyt ostrożnym kierowcą. Tak naprawdę, jeśli chcesz wiedzieć, bierze ostre zakręty z setką na liczniku. Ale że to Bóg, zawsze zakładałam, iż zna się na prowadzeniu lepiej ode mnie. Owszem, wystawiałam się na cięte uwagi z twojej strony. Licz się ze słowami, młoda panienko. Nie jestem ślamazarą, po prostu jestem ostrożna. I chciałam ci przypomnieć, że nie jestem jedną z tych, którym odebrano prawo jazdy w wieku lat dwudziestu. Moja Anielu, było wesoło, nieprawdaż?

Byłaś moją przyjaciółką, moją towarzyszką oraz moją siostrą w wierze i w Panu przez tak długi czas. No i ile lodów razem zjadłyśmy, ileż bałaganu narobiłyśmy w kuchni,

chichrając się jak głupie z tekstów w radiowym *The Tonight Show*. Wiedziona egoizmem, mam nadzieję, że za mną tęsknisz. Nie jesteś jednak ode mnie wiele młodsza; zakładam, że niedługo cię zobaczę.

Zawsze kochająca
Maria Małgorzata Fischer, SSND

PS. Nie sądzisz, że moje teksty mogą kogokolwiek obrazić, prawda? Zauważ, że pominęłam fragment, kiedy ty, Józef i ja wybraliśmy się na Arubę. Nikt nie musi o tym wiedzieć, zapewniam cię!

*Dedykuję ten niewielki zbiorek swoich bazgrołów
Siostrom Szkolnym
de Notre Dame, które przyjdą tu po mnie.
Niech Bóg będzie z wami.
Modłę się za was i nie przestanę, aż do chwili,
kiedy spotkamy się twarzą w twarz.*

*Maria Małgorzata Fischer, SSND,
Abbeyville, Wyspa Szarańczy, Maryland,
październik 2000*

DROGIE SIOSTRY, kiedy w końcu zdecydowałam się na opowiedzenie tej historii, dowiecie się, że moje serce pełne jest miłości, pomimo że nic nie poszło zgodnie z planem. Mogłabym wam powiedzieć, że Bóg chadza swoimi drogami, a nie naszymi, ale prawdopodobnie już o tym wiecie. I mogłabym wam powiedzieć, że Jego łaska przybiera formy, których nie mogłybyśmy sobie nawet wyobrazić, więc jeśli nie jesteście w stanie postawić się w sytuacji, w jakiej się znajdowałam przez ostatnich siedemdziesiąt lat, nie będziecie także mogli doświadczyć łaski, której ja doświadczyłam. Łaska, której Bóg udziela każdej osobie, jest przeznaczona tylko dla niej i chociaż czasami pokrywa się częściowo z łaską dla innych, niczym fale tej zatoki, na brzegu której teraz siedzę, w przeważającej mierze jej suma i istota oraz kombinacja darów są tak niepowtarzalne jak my sami.

Rozpocznę więc tę historię od jej początku, od tej nocy, kiedy moja matka poczęła mnie w chwili zła, chwili, o której trudno byłoby powiedzieć, że nie miała w niej udziału wola Boża, chociaż znaleźliby się skorzy do dyskusji nad tą szczególnie teologiczną. Mają do tego prawo, a ja nie mam już w sobie dostatecznie wiele doktrynalnej żarliwości, aby dyskutować na takie tematy. Niech tak będzie. To, co ktoś inny sądzi lub co ja o tym sądzę, niekoniecznie oznacza, że to prawda. Bóg jest, jaki jest, a nasze myśli nie zmienią Go tak czy inaczej. Jeżeli posiada się choć krztę rozumu, to myśl ta przynosi spokój – tak jest w moim przypadku.

Moja matka, Maria Małgorzata Pierwsza, jak nazywała ją babcia, zaczęła nosić mnie w swoim łonie, kiedy młody seminarzysta posiadł ją wbrew jej woli pod murami Fortu

McHenry. Była nauczycielką w drugiej klasie w West Baltimore i przez większość wieczorów po pracy przemierzała Fort Avenue w kierunku fortu o kształcie pięcioramiennej gwiazdy, w którym rozpoczęła się bitwa o Baltimore w 1814 roku – czerwony blask rac, wybuchające w powietrzu pociski i tak dalej; oraz brytyjskie fregaty płynące w górę rzeki Patapsco z Francisem Scottem Keyem na pokładzie, kreślącym słowa, które stały się naszym narodowym hymnem.

Seminarzysta ów wiedział o, jak nazywała to moja ciotka Elfi, „wieczornych przechadzkach” matki i czasami towarzyszył jej w świetle gazowych latarni, w miejskim półmroku, z rękami splecionymi z tyłu – tak przynajmniej go sobie wyobrażam – zgięty nieco do przodu i słuchający być może jej opowieści o uczniach, a może o innych siostrach zakonnych, ponieważ złożyła właśnie śluby wieczyste w Zgromadzeniu Sióstr Szkolnych de Notre Dame. Być może opowiadała o rodzicach swoich uczniów lub o tym, jak lubiła słuchać wieczornych audycji radiowych w ciasnym mieszkanku, które dzieliła ze swoją przyjaciółką, współsiostrą i koleżanką Loretą; o tym, jak ich szkoła starała się znaleźć środki, aby zapewnić dzieciom przynajmniej jeden dobry posiłek dziennie, zważywszy na to, jak wielu z ich rodziców utraciło pracę po krachu na Wall Street.

Nie wiem, co mój ojciec jej odpowiadał, ale zawsze się nad tym zastanawiałam. Zapewne została zaskoczona, ponieważ babcia mówiła, że mama była bystra i dobrze znała się na ludziach. Musiał ją jakoś omamić. Z opowieści babci wynikało, że był seminarzystą w pobliskiej parafii Krzyża Świętego. Może nawet słyszał, jak się spowiadała. Nie żeby w jej wyznaniach było coś szokującego. Babcia mówiła, że mama nie sprawiała jej wiele kłopotów.

Może podczas ich spaceru słońce odbijało promienie od fasad budynków, zamieniając złoty odcień kamieni i cegieł na szkarłatny, niebo mieniło się kolorem fuksji i fioletu, jakby

delikatny szal powiewał zza chmur. Być może kobaltowa noc wsiąkała w ich ubrania podczas chłodnych miesięcy, pogłębiając czerń ich płaszczy, wysysając barwę z ich szali i charakter z zarysu postaci, zanim zmaterializowali się w świetle latarni.

Pewnego wieczoru wstąpiło w niego jakieś zło i wszedł w nią, w rezultacie czego powstałam ja. Czy opowiedziała mi o tym babcia? Jeżeli tak, to na pewno nie posłużyła się taką terminologią. Mój wiek wymagał bardziej subtelniejszego, niejasnego słownictwa, może opowieści o rodzaju spraw, które tylko mężowie i żony powinni czynić, nie będąc do tego przymuszonymi przez kogoś innego. Nie potrafię sobie dokładnie przypomnieć, kiedy do tego doszłam, ale wydaje mi się, jakbym zawsze o tym wiedziała i nadnaturalnie rozumiała. Może usłyszałam jakąś rozmowę. Nie wiem. To, że moja matka jako siostra zakonna zaszła w niechcianą ciążę, zupełnie zaburzyło porządek przeznaczenia. Kiedy miałam lat trzynaście, doszłam do wniosku, że mogę jakoś ułożyć to wszystko w całość, może usprawiedliwić swoją egzystencję, podejmując pochodnię, która zgasła w rezultacie moich narodzin.

I tak już jest źle, kiedy ktoś rodzi się w wyniku grzechu popełnionego za obopólną zgodą dwojga dorosłych. Ja jednak narodziłam się w konsekwencji połączenia agresji i kontroli, w rezultacie czynu jednej osoby, która zdominowała drugą w przekonaniu, że jej prawo do tego, aby brać, jest ważniejsze od jej prawa do dawania. Powiedzieć: „człowiek zamierza czynić zło, ale Bóg zamienia je w dobro”, to olbrzymi skok do przodu. A jednocześnie obwinianie Go za kłamstwa żony pewnego egipskiego arystokraty, której nie udało się nakłonić Józefa do swoich niezbyt subtelnych seksualnych propozycji, oraz za egoistyczne roztargnienie starosty weselnego jest czymś nieco innym niż obarczanie

Go całkowitą odpowiedzialnością za gwałt. Trzeba gdzieś postawić granicę, w przeciwnym razie okaże się niedługo, że Ted Bundy naprawdę nie mógł się powstrzymać i że ten terrorysta, o którym się ostatnio mówi, Osama Bin Jakiś Tam, naprawdę uczestniczy w Bożej misji, i kto wie, do czego może to doprowadzić. Ten rodzaj teologii nikomu nie powinien przypaść do gustu, czy pochodzi się z Genewy, czy z Rzymu, może więc posiadam jednak więcej doktrynalnego zapału, niż sądziłam jeszcze dziesięć minut temu! Niech Bóg ma mnie w swojej opiece. Przypuszczam, że po siedemdziesiątce zrobiłam się nieco zadufana. Wybaczcie zatem, siostry, starej kobiecie, że czasami przynudza. Żebyście jednak nie sądziły, że siedemdziesiątka to znowu *tak* dużo. W rzeczy samej nie.

Moja matka powróciła do domu na Wyspie Szarańczy, aby w odpowiednich warunkach donosić ciążę, przechadzając się wzdłuż wybrzeża i modląc w tutejszej kaplicy Świętej Marii, i czując pomiędzy siostrami jak w rodzinie. Dom mojej babki znajdował się na tej samej ulicy co szkoła. Całymi godzinami modliła się na klęczniku, spędzając więcej czasu na kolanach w kościele niż w domu. Ciotka Elfi zapewne dołączała do niej często, ponieważ ciotka Elfi wiedziała, że trwanie przy kimś to najważniejszy sposób niesienia mu pomocy.

Babcia mówiła, że matka przesiadywała każdego wieczoru na Bethlehem Point i wpatrywała się w wody Chesapeake, ze wzrokiem przykutym do latarni morskiej wspartej na rozłożystej podstawie wyrastającej z brzegu. I płakała. Babka nie prosiła jej o wyjaśnienia czy zwierzenia. Była Niemką w drugim pokoleniu. Jej chłód nie zdążył jeszcze przeminąć.

Wyobrażam sobie Marię Małgorzatę Pierwszą czerpiącą nadzieję z tego wirującego światła latarni na wybrzeżu, tak jak ja zawsze to robiłam. Myślę sobie wtedy, że istnieje ktoś, kto jest w stanie ostrzegać nas przed niebezpieczeństwem,

i jeżeli znajdziemy się w jakiejś okropnej sytuacji, osoba ta wsiądzie do szalupy i przyplynie nam na ratunek. Trudno jest oderwać wzrok od przeszywającego białego promienia, kiedy siedzi się tutaj w ciemną noc.

Wszyscy chcemy zostać uratowani i wypatrujemy ratunku w najbardziej szalonych miejscach, nieprawdaż? Wszyscy pragniemy zostać odnalezieni.

Maria Małgorzata Pierwsza siadywała pod tym samym drzewem, pod którym ja teraz siedzę. To jeden z powodów, dlaczego zawsze tutaj trafiam. Posplatane korzenie wyrastają spod ziemi, w idealny sposób tkając dla mnie fotel, a lipcowymi lub sierpniowymi popołudniami baldachim z liści chroni nieco przed słonecznym upałem. Tyle że kiedy siadywała tutaj moja matka, drzewo było jeszcze młode, więcej było w nim nadziei niż mądrości.

Poczęta w grzechu, urodzona w smutku, przyszłam na ten świat w strumieniu krwi, który nie ustał, kiedy znalazłam się w rękach mojej babki. Po jakimś kwadransie wiedziała, iż krwawienie samo nie ustąpi: moja matka umierała. Ciotka Elfi sprowadziła doktora Spanyera, który wyjąkał boleśnie, że zanim dostarczą matkę do sz-sz-pitala, zmuszeni dotrzeć do głównego łądu łodzią, a następnie przebyć dwugodzinną drogę do Salisbury, ona u-u-mrze. Biedny doktor zmarł rok później w drodze do tego samego miejsca, do którego nie mogła dotrzeć moja matka, ponieważ jego żona nie chciała pogodzić się z myślą, że się wykrwawi – jego syn znalazł ojca leżącego obok kosiarki do trawy. Tak się jednak stało. Po pogrzebie wyniosła się z wyspy.

Mieszkańcy Wyspy Szarańczy stanowili w tamtym czasie twarde, sękaty typ ludzi, ponieważ każdy w głębi ducha wiedział, iż jeżeli przydarzy się mu coś dramatycznego, a szpital oddalony jest o dwie godziny drogi, nie pozostanie mu nic innego, jak tylko umrzeć. Jeżeli musiało się to skończyć

śmiercią, cóż, im prędzej, tym lepiej, więc niech Bóg da, aby było to coś spektakularnego i szybkiego: upadek z dachu na głowę, silny zawał lub wylew, pogruchołanie czaszki młotem pneumatycznym. Wypadek podczas koszenia trawy. Krwawienie poporodowe.

Ciotka Elfi wymknęła się na deszcz i sprowadziła ojca Tomasza, naszego proboszcza. Ze łzami w oczach, ponieważ był on spowiednikiem matki, namaścił jej czoło, oczy, uszy, nos, usta, dłonie oraz stopy i wypowiedział słowa ostatniej posługi, pierwszą modlitwę, która dobiegła do moich uszu. Ciotka Elfi opowiadała, że następnie uniósł mnie i powiedział: „Ostatni element układanki w odkupieniu Marii Małgorzaty”.

Nadal nie wiem, co by to miało znaczyć. Nie mogę powiedzieć, aby moje życie było całkowicie wytłumaczalne i że nie przychodzi mi do głowy mnóstwo pytań. Z Bożą wolą odpowiedzi poznam, zanim umrę.

Babka nadała mi imię Maria Małgorzata w tej samej chwili, kiedy odeszła moja matka. Zawsze podobał mi się ten łącznik, pełniący jakby rolę pomostu pomiędzy moją matką a mną, subtelny, milczącego „i tak dalej, i tak dalej”. I jest to mój własny łącznik.

Gdyby moja matka żyła, zapewne nie pisałabym teraz w tym notatniku. Zamierzała oddać mnie do adopcji, chcąc, abym miała zarówno matkę, jak i ojca, i powrócić do zakonu, pracy nauczycielskiej, najprawdopodobniej zostawić całą tę traumę jak najdalej za sobą. A ja bym jej nie obwiniała. Babka mówiła oczywiście, że zawsze zamierzała wychować mnie w tym małym mieszkanku z jednym łóżkiem i zbyt dużą liczbą prostych krzeseł, że nigdy nie pozwoliłaby mi odejść do innej rodziny, kiedy nasza była dobra i w pełni zdolna do wychowania dziecka. I ja mogę jej tylko wierzyć, jako że nigdy nie oddała mnie nikomu innemu.

Najważniejsi aktorzy w tym moralitecie już odeszli: Józef, moja matka, babka i ciotka Elfi, Brister, Petra, pan Keller, a nawet LaBella. Wyłączając Jana, Geralda oraz Hattie i mnie samą. Chociaż właściwie, jeżeli to czytasz, *ja* także już nie żyję. Zakładam, że seminarzysta gwałciciel także już odszedł z tego świata. Nigdy się nie dowiedziałam, co się z nim stało. Komu z nas wystarczyłoby hartu ducha, aby angażować się w takie poszukiwania? Nie znam nawet jego imienia i nie wiem, czy ktokolwiek dowiedział się o popełnionym przez niego przestępstwie, czy też skrył się w ramionach Kościoła.

A czy odnalazł azyl w ramionach Chrystusa? Czy zapragnął przebaczenia? Czy stał się, być może, kimś lepszym?

Widzicie? Pytania. Nigdy nie znajdują odpowiedzi. Najprawdopodobniej czekałam zbyt długo. Pewnie od dawna spoczywa w grobie. *Jestem* już stara!

Cóż, ciotka Elfi mówiła, że dusza mojej matki wstąpiła we mnie, kiedy powietrze wokół nas przeszła błyskawica. Babka powiedziała, że jest szalona. Byłyśmy katoliczkami, nie wierzyłyśmy w takie rzeczy. Jasne przecież, że dusza wstąpiła w dziecko na długo przedtem, zanim się urodziło, więc żeby się uprzejmie zamknęła i pomogła jej umyć ciało jedynej córki oraz zmyć krew.

Krew, którą oddała za mnie. Owszem, boleśnie doświadczam tej symboliki.

Ciotka Elfi zakasała rękawy, przywdziała fartuch i odgarnęła do tyłu swoje długie, siwe włosy. Z miłością ścierała każdą plamę różowopąsowej krwi, pozostawiając warkocz rdzawej czerwieni wzdłuż ud mojej matki, zanim wytarła ją do czysta. Ciotka Elfi poruszała się w delikatny, czuły sposób, nie przekraczając zbyttno granicy szeptu.

Moja matka była, swoją drogą, efektem nieostrożności mojej dwudziestoośmioletniej, choć wciąż jeszcze niezamężnej, babki i pewnego turysty z Belgii, który pojawił się na

wyspie. Niezrażony jej kwadratową szczęką, co jeszcze mniej zrozumiałe, uznał jej koniowatą, germańską twarz za atrakcyjną. Seks pojawiał się więc i znikał w żeńskiej linii naszej rodziny jako coś niespełnionego, z czego jednak Wszechmogący był jakoś w stanie ostatecznie utkać dobro.

Cóż, ciotka Elfi nigdy nie pozwoliła sobie na takie zachowanie, wystarczyło jednak jedno spojrzenie, aby uświadomić sobie, że ktoś musiał niezłe namieszać jej w głowie.

Później tamtego wrześniowego popołudnia 1930 roku, kiedy niebo przejaśniało, a pomarańczowe słońce odpędziło padający deszcz, mężczyźni i kobiety ruszyli do domów od strony doku, ze swoich łodzi rybackich albo fabryki konserw na zachodnim krańcu naszej wyspy. Całe góry konserw każdego dnia opuszczały Wyspę Szarańczy. Ostrygi z Opactwa. Firma wykorzystywała mnicha w swoim logo, pomimo iż wielu wyspiarzy było metodystami. Jak można sobie wyobrazić, piątek stanowił najlepszy dzień na handel, co nie umknęło uwagi nawet najbardziej metodycznym z metodystów. Czasami przechodziłam obok masywnego betonowego budynku i zaglądałam przez brudne okno, przyglądając się, jak dłonie robotników śmigające niczym płocie wyłuskiwały aksamitną, cenną zawartość z twardych, prehistorycznych skorup. Za rogiem sterta muszli rosła z każdym dniem, spychana coraz dalej i stopniowo wapniejąca.

Mężczyźni owi oraz kobiety mijali nas, nieświadomi dramatu, przepychając się wzdłuż Main Street przed fasadą naszego domu. Nie wiedzieli, że dzwon ze Szkoły Zakonnej Świętej Maryi, który zazwyczaj wzywał dziewczęta na obiad, wygrywał teraz podzwonne dla siostry Marii Małgorzaty, a także sygnał nowego życia, dowód na to, jak powiedział kiedyś ktoś mądry, że Bóg pragnie, aby rasa ludzka trwała. Ich myśli biegingy ku poprzednim dniom, kiedy to któreś z ich rodziców lub rodzeństwa albo dzieci odeszło albo przyszło

na ten świat. Zawsze pamiętamy dni, kiedy coś się zaczyna lub kończy.

A podczas kiedy te dwie kobiety obmywały zakrwawione nogi i blade, kruche ramiona mojej matki – jej zdjęcia ukazują piękne, falujące, ciemne włosy i ciemne oczy – ja leżałam opatulona na łóżku, wpatrując się w sufit. Tak mówiła mi ciotka Elfi. Nie płakałam, aż do chwili kiedy ojciec Tomasz powrócił, aby pocieszyć nas w smutku, i wziął mnie w swoje delikatne ramiona, płacząc razem ze mną. Był z tych wrażliwych aż do śmierci.

Miałam dwa dni, kiedy ojciec Tomasz, starsi członkowie naszej parafii oraz nasza rodzina, składająca się z babki, ciotki i mnie, powierzyliśmy moją matkę ziemi na cmentarzu kościoła pod wezwaniem Świętego Franciszka. Po czym wszyscy wkroczyli od razu do środka kościoła, stanęli obok prostej, kamiennej chrzcielnicy i zostałam ochrzczona w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Siostra Tadea, o której opowiem więcej później, w tamtym czasie jedna ze starszych uczennic, mówiła, że przyglądając się temu z kąta kościoła, usłyszała głos Ducha Świętego, który kazał jej modlić się za mnie każdego dnia. I tak robiła.

Później ciotka Elfi zaniosiła mnie na Bethlehem Point, dokładnie w to miejsce, gdzie teraz siedzę, pod to samo drzewo, i trzymała mnie przy zachodzącym słońcu zamiast mojej matki. Wróciła do domu ze mną na rękach, nakarmiła butelką i położyła w łóżeczku, w którym spałam przez całą noc. Wyczerpane, obie z babką zasługiwały na ten promyczek łaski. Nigdy nie przysparzałam im kłopotu.